



Juliusz Verne

Pan Świata



ISBN 978-83-66980-54-9



Juliusz Verne

PAN ŚWIATA

Juliusz Verne



PAN ŚWIATA

Przełożył i przypisami opatrzył Krzysztof Jagusiak

**Sto ósma publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:
Maître du monde

© Copyright for the Polish translation
by Krzysztof Jagusiak, 2022

36 ilustracji, w tym 6 kart tablicowych kolorowych: George
Roux (zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania
francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Andrzej Zydorczak
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I
© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2022

ISBN 978-83-66980-54-9

Wstęp

Pod koniec życia Juliusz Verne wrócił do głównego bohatera jednej ze swych powieści, wydanej w 1886 r., czyli „Robura Zdobywcy”, i opowiedział jego dalsze losy. Widać postać ta go bardzo nurtowała i dostrzegł w niej fabularny potencjał, skoro zdecydował się na taki ruch. W ciągu dwóch dekad zmienił się też bardzo świat, zarówno pod względem społecznym, jak i technicznym, więc wątki poruszone wcześniej domagały się rozwinięcia. Spór zwolenników balonów i maszyn cięższych od powietrza stawał się coraz bardziej jałowy, wiadomo bowiem było, że przyszłość należy do tych ostatnich – za moment tryumfy miał zacząć święcić wynalazek braci Wright.

Po tym, jak „Albatros”, czyli napędzany wirnikami statek powietrzny Robura, został zniszczony, tajemniczy konstruktor usunął się w cień, uważając, że ludzkość nie dorosła do jego wynalazku. W kolejnej powieści, czyli *Panie Świata*, powrócił z maszyną jeszcze potężniejszą i bardziej zaawansowaną technicznie – „Grozą”, mogącą się poruszać nie tylko w powietrzu, ale też po lądzie, wodzie i pod nią. Przemianie uległ także on sam. Nie był już tylko romantykiem nowoczesności, wprawdzie aroganckim i przekonanym o swej wizjonerskiej przewadze nad innymi, jednak przynoszącym postęp. Stał się ogarniętym żądzą zemsty, groźnym szaleńcem. Z herolda rozwoju przedzierzgnął się w niebezpiecznego, chętnego maniaka.

Pan Świata jest jedną z tych powieści, które Juliusz Verne napisał bardziej jako Samotnik z Amiens, niż Czarodziej z Nantes, a więc będąc człowiekiem w podeszłym wieku, schorowanym, niedowidzącym i osamotnionym. Nie tylko jednak życiowe niedogodności miały wpływ na dominujący w jego utworach z tego okresu pesymizm. Był umysłem wybitnym i przenikliwym, umiał analizować rzeczywistość w szerszej perspektywie, coraz bardziej więc zdawał sobie sprawę z tego, że nowoczesne technologie nie zapewnią ludzkości tylko szczęśliwości, lecz powodować będą również rozliczne zagrożenia.

Druga powieść o Roburze ukazywała się we Francji najpierw tradycyjnie, czyli w odcinkach – od 1 lipca do 15 grudnia 1904 roku na łamach „Magazynu Wiedzy i Rozrywki”. W listopadzie wyszła też w formie książki, zarówno w mniejszym, jak i okazałym formacie, z ilustracjami George’a Roux. Polscy czytelnicy mogli się z nią zapoznać, co ciekawe, wcześniej niż z *Roburem Zdobywcą* (pierwotny wydruk w 1932 r.), bo już w 1905 r. Drukowały ją „Wieczory Rodzinne”, z francuskimi rycinami i pod tytułem *Król przestrzeni*. Znamy tylko inicjały autora tego przekładu – M.P. Takim samym tytułem opatrzone zostało wydanie książkowe z 1909 r., tyle że oparte zostało na tłumaczeniu równie tajemniczego J.P. Potem była przerwa aż do 1988 r., kiedy to Wydawnictwo „Śląsk” zaproponowało czytelnikom obie powieści o Roburze w jednym tomie. Spolszczyła je Barbara Sęk. Drugiej części nadała tytuł zgodny z oryginałem, czyli *Pan Świata*. Taki sam zastosowała oficyna Hachette Polska, która w 2016 r. odświeżyła tłumaczenie M.P. i opublikowała je w kolekcjonerskiej serii „Niezwyczajne podróże Juliusza Verne’a”.

dr Krzysztof Czubaszek
Prezes Polskiego Towarzystwa Juliusza Verne’a



Rozdział I

To, co się działo w kraju

Góry ciągnące się równolegle do amerykańskiego wybrzeża Atlantyku, przecinające Karolinę Północną, Wirginię, Maryland, Pensylwanię i stan Nowy Jork, noszą dwie nazwy: Allegheny¹ i Appalachy, a tworzą je dwa niezależne łańcuchy: góry Cumberland na zachodzie i Pasmo Błękitne na wschodzie.

¹ *Allegheny* – obecnie tym mianem określa się zachodnie pasmo Appalachów.

Choć ów najważniejszy w tej części Ameryki Północnej system orograficzny¹ rozciąga się na długości około dziewięćset mil², czyli tysiąca sześciuset kilometrów³, to jego średnia wysokość nie przekracza sześciu tysięcy stóp, a najwyższym wzniesieniem jest Góra Waszyngtona⁴.

Ten rodzaj górskiego kręgosłupa, którego dwa krańce zanurzały się w wodach rzek: jeden – Alabamy, drugi – Rzeki Świętego Wawrzyńca, nie wzbudzał większego zainteresowania alpinistów. Jego najwyższe granie nie sięgały górnych warstw atmosfery, więc nie przyciągały ich tak, jak wspaniałe szczyty Starego i Nowego Świata⁵. Tym niemniej w owym łańcuchu istniał jeden wierzchołek – Great Ery⁶, na który turyści wspiąć się nie potrafili i wydawało się, że zasługiwał on na miano niedostępnego.

Zresztą choć do tej pory wspinacze go pomijali, tenże Great Ery miał wkrótce skupić na sobie powszechną uwagę, a nawet wzbudzić zaniepokojenie z powodów bardzo szczególnych, które muszę przedstawić na początku tej historii.

Jeśli wprowadzam tutaj do akcji swoją własną osobę, to dlatego, że została ona – jak się okaże – głęboko wmieszana w jedno z najbardziej niezwykłych wydarzeń, jakich dwudziesty wiek za-

¹ *Orografia* – dział geografii zajmujący się rozmieszczeniem i opisem gór na Ziemi.

² *Mila* – nie wiadomo, jakiej jednostki użył tu autor, bo biorąc pod uwagę to, co pisze, że około 900 mil odpowiada 1600 kilometrom, to długość mili wynosiłaby ok. 1778 m, zatem byłaby bliższa mili morskiej (1852 m) niż międzynarodowej mili lądowej (1609 m).

³ Obecnie jako długość Appalachów podaje się 2400 km.

⁴ *Góra Waszyngtona* – 1918 metrów wysokości [przyp. J. Verne'a]; faktycznie najwyższym szczytem Appalachów jest Mount Mitchell – 2037 m.

⁵ *Stary i Nowy Świat* – tak po odkryciu Kolumba nazywano Europę oraz Amerykę.

⁶ *Great Ery* (ang.) – Wielkie Gniazdo, z tym, że *ery* oznacza wysoko umiejscowione gniazdo ptaka drapieżnego.

pewne będzie świadkiem. Czasami wręcz zastanawiam się, czy ono naprawdę miało miejsce, czy było takie, jak odtwarza je moja pamięć, a może raczej należałoby powiedzieć – moja wyobraźnia. Będąc naczelnym inspektorem policji w Waszyngtonie, a ponadto motywowany wrodzoną dociekliwością, która nadzwyczaj się we mnie rozwinęła, od piętnastu lat uczestniczyłem w różnorodnych śledztwach i często wypełniałem poufne misje, do których miałem wyraźny pociąg. Zatem nie może dziwić fakt, że zwierzchnicy pchnęli mnie w tę niewiarygodną przygodę, gdzie miałem się zmierzyć z nieprzeniknionymi tajemnicami. Trzeba zatem, by od samego początku wierzono mi na słowo. Na potwierdzenie tych zdumiewających faktów przytoczyć mogę jedynie własne świadectwo. Jeśli ktoś nie chce dać mi wiary – trudno!, niech mi nie wierzy.

Great Eyry znajduje się w tej malowniczej części Pasma Błękitnego, która wznosi się w zachodniej części Karoliny Północnej. Jego zaokrąglony kształt widać dość wyraźnie, gdy się opuszcza miasteczko Morganton¹ zbudowane na brzegu Catawba River², a jeszcze lepiej – z leżącej o kilka mil bliżej niego wioski Pleasant Garden.

Czym właściwie jest Great Eyry...? Czy uzasadnia swą nazwę nadaną mu przez mieszkańców tego regionu Pasma Błękitnego...? To, że te góry tak się nazywały z powodu lazurowego odcienia, jakiego nabierały w pewnych warunkach atmosferycznych, było całkiem naturalne. Czy zatem Great Eyry mianowano gniazdem z uwagi na osiedlające się tam drapieżne ptaki: orły, sępy lub kondory...? Czy było to ulubione miejsce pobytu potężnych skrzydlaczy z okolic...? Czy widziało się je krążące

¹ *Morganton* – miasto we wschodniej części Stanów Zjednoczonych, w stanie Karolina Północna, w hrabstwie Burke, w dolinie rzeki Catawba.

² *Catawba River* – u J. Verne'a: Sarawba-river.

krzykliwymi stadami nad tym siedliskiem dostępnym jedynie dla nich...? Prawdę mówiąc – nie, nie były tam wcale liczniejsze niż na innych szczytach gór Allegheny. Wręcz przeciwnie, zauważono nawet, że w niektóre dni ptaki, zbliżywszy się do Great Ery, wykazywały chęć ucieczki – po zatoczeniu nad górą kilku kręgów odlatywały we wszystkich kierunkach, wydając przy tym ogłuszające wrzaski.

Skąd zatem nazwa Great Ery? Nie lepiej byłoby nazwać tę górę „cyrkiem”¹, jak to się spotyka gdzie indziej w górskich regionach? Rzeczywiście, za jej stromymi zboczami musiała się bowiem znajdować rozległa i głęboka niecka... a na jej dnie być może istniało nawet niewielkie jezioro zasilane wodami z opadów deszczu, a w zimie śniegu, jak to się spotyka w licznych miejscach zarówno łańcucha Appalachów, jak i innych systemów orograficznych Starego i Nowego Świata... Czyż zatem nie pod tą właśnie nazwą powinna figurować owa góra w nomenklaturze geograficznej...?

Ponadto, by wyczerpać serię hipotez, można postawić pytanie: czy był to krater wulkanu, i to od dawna śpiącego wulkanu, który podziemne ciśnienie mogło pewnego dnia zbudzić...? Czy w sąsiedztwie nie należało się lękać gwałtowności Krakatau² lub furii Montagne Pelée³...? Przy założeniu, że było tam jezioro, czy nie należało się obawiać, że jego wody, dostając się do wnętrza ziemi i zamieniając w parę za sprawą wewnętrznego

¹ *Cyrk* – tu cyrk górski: głęboka kotlina, wokół której amfiteatralnie piętrzą się góry.

² *Krakatau* – wulkan na indonezyjskiej wyspie o tej samej nazwie, leżącej w Cieśninie Sundajskiej pomiędzy Sumatrą i Jawą, którego erupcja z 27 sierpnia 1883 roku należała do najpoważniejszych w historii i pozbawiła życia ok. 40 tys. ludzi.

³ *Montagne Pelée* – wulkan na Martynice, którego erupcja z 1902 roku zniszczyła kompletnie miasto Saint-Pierre i zabiła prawie 30 tys. ludzi.

ognia, mogą zagrozić równinom Karoliny wybuchem podobnym do tego na Martynice w roku 1902...?

Faktycznie, jakby na poparcie tej ostatniej ewentualności pewne zaobserwowane niedawno objawy w postaci wydobywających się oparów zdradzały wzmożenie aktywności sił plutonicznych¹. Któregoś dnia pracujący w polu wieśniacy słyszeli nawet głuche i niewytłumaczalne hałasy, natomiast w nocy pojawiły się snopy płomieni.

Opary wydobywały się z wnętrza Great Eyry, a gdy wiatr poniosł je na wschód, pozostawiły na powierzchni ziemi pasma popiołu bądź sadzy. W końcu podczas nocnych ciemności blade płomienie, odbijając się w nisko wiszących chmurach, rozlewały po okolicy posępną jasność.

Nic też dziwnego, że z powodu tych dziwnych zjawisk okolicę ogarnął poważny niepokój. Jego następstwem była nadrzędna potrzeba dowiedzenia się, czego należało się spodziewać. Gazety stanu Karolina nie przestawały informować o czymś, co zwały „Tajemnicą Great Eyry”. Stawiały pytanie, czy zamieszkiwanie w takim sąsiedztwie nie było niebezpieczne... Ich artykuły budziły zarazem ciekawość i obawy – ciekawość tych, którym nic nie groziło, a interesowali się zjawiskami występującymi w naturze, obawy u tych, co ryzykowali stanie się ofiarami owych zjawisk, jeśli zagrażały one okolicy. W przeważającej większości byli to mieszkańcy miasteczek Pleasant Garden, Morganton i nader licznych wiosek lub pojedynczych farm leżących u stóp łańcucha Appalachów.

Jaka szkoda, że wspinacze aż dotąd nie próbowali się dostać na Great Eyry. Nigdy otaczające ją skaliste ściany nie zostały

¹ *Sily plutoniczne* – zjawiska związane z wciskaniem się magmy w warstwę skorupy ziemskiej bez wydostania się na powierzchnię Ziemi; u J. Verne’a w szerszym znaczeniu, w powiązaniu ze zjawiskami wulkanicznymi.

pokonane, a być może nawet nie oferowały żadnej drogi umożliwiającej dostęp do położonej we wnętrzu niecki.

Czyż jednak w pobliżu góry Great Eyry nie było żadnego innego wyższego wzniesienia, stożka lub szczytu, z którego można by ją objąć w całości spojrzeniem...? Nie, w promieniu wielu kilometrów nie było nic wyższego. Góra Wellington, jedna z najwyższych w paśmie Alleghenów, wznosiła się zdecydowanie w zbyt wielkiej odległości.

Obecnie jednak dokładne rozpoznanie Great Eyry stało się koniecznością. W interesie regionu należało się dowiedzieć, czy góra zwieńczona była kraterem i czy erupcja wulkaniczna zagrażała temu zachodniemu dystryktowi Karoliny. Ustalono zatem, że zostanie podjęta próba wejścia na szczyt i określenia przyczyn obserwowanych zjawisk.

Tymczasem, nim doszło do tej próby, zwiastującej poważne, doskonale znane trudności, nadarzyła się pewna okazja, która niewątpliwie stwarzała możliwość zlustrowania wnętrza Great Eyry bez uskuteczniania wspinaczki.

W pierwszych dniach września owego roku aerostat¹ pilotowany przez aeronautę² Wilkera miał wystartować z Morganton. Korzystając ze wschodniego wiatru, balon miał się wznieść w kierunku Great Eyry i była szansa, że przeleci nad jej szczytem. Wówczas, znalazłszy się kilkaset stóp nad wierzchołkiem, Wilker obejrzałby go dokładnie i dogłębnie za pomocą solidnej lunety. Sprawdziłby, czy wśród wysokich skał nie otwiera się wylot wulkanu. Najważniejsza kwestia zostałaby rozwiązana. Wreszcie wiedziano by, czy okolica ma się obawiać wybuchów erupcyjnych w bliższej lub dalszej przyszłości.

¹ *Aerostat* – statek powietrzny napędniony gazem lżejszym od powietrza: balon lub sterowiec.

² *Aeronauta* – lotnik odbywający loty balonem lub sterowcem.

Wzlot odbył się zgodnie z przewidywaniami przy średniej sile wiatru i czystym niebie. Ożywcze promienie słoneczne rozproszyły poranne mgły. Gdyby nie pozostały one we wnętrzu Great Ery, to aeronauta mógłby w całości zbadać wzrokiem wnętrze góry. Jeśliby wydobywały się z niego jakieś opary, na pewno by je zauważył. Wówczas należałoby uznać, że w tej części Pasma Błękitnego istniał wulkan mający za krater Great Ery.

Balon najpierw wzniósł się na wysokość tysiąca pięciuset stóp¹ i przez kwadrans pozostawał nieruchomy. Na tej wysokości wiatr przestał być odczuwalny, choć wyraźnie dmuchał przy powierzchni ziemi. Nagle – ku wielkiemu rozczarowaniu – pojawił się nowy prąd atmosferyczny, który skierował aerostat na wschód, oddalając go tym samym od łańcucha górskiego. Na zmianę kierunku nie było szans. Mieszkańcy miasteczka wkrótce stracili balon z oczu, a później dowiedzieli się, że wylądował w pobliżu Raleigh² w Karolinie Północnej.

Po tej nieudanej próbie zdecydowano, że kolejna podjęta zostanie w korzystniejszych warunkach, znowu bowiem od góry dobiegały pomruki, a towarzyszyły im opary koloru sadzy i chybottliwe blaski, które odbijały się na chmurach. Nic więc dziwnego, że niepokoje nie ustępowały. Podejrzewano, że okolicy zagrażają zjawiska sejsmiczne bądź wulkaniczne.

Tymczasem w pierwszych dniach kwietnia owego roku zaistniały poważne powody, które przekształciły dosyć mgliste dotąd obawy w przerażenie. Powszechny lęk szybko odbił się echem w lokalnych gazetach. Cały region między łańcuchem górskim a miasteczkiem Morganton żył w strachu przed tym, co mogło się wydarzyć.

¹ *Stopa* – tu: stopa angielska, miara długości równa 0,3048 m.

² *Raleigh* – miasto w USA, stolica stanu Karolina Północna, część obszaru metropolitalnego Raleigh–Cary, znane jako „Miasto Dębów” ze względu na liczne dęby, które rosną wzdłuż ulic w samym sercu miasta.

W nocy z czwartego na piąty kwietnia mieszkańców Pleasant Garden obudził wstrząs, po którym rozległ się ogłuszający hałas. Przypuszczenie, że rozpadła się pobliska partia gór, wywołało panikę nie do opanowania. Wypadłszy z domów, wszyscy gotowi byli uciekać, obawiając się ujrzeć otwierającą się przepaść, która pochłonać miała farmy i wioski na przestrzeni dziesięciu lub piętnastu mil.

Noc była bardzo ciemna. Nad równiną zwisał strop gęstych chmur. Nawet za dnia grzbiety Pasma Błękitnego nie byłyby widoczne.

Pośród tych ciemności nie dało się niczego rozpoznać ani reagować na dobiegające zewsząd krzyki. Grupy przestraszonych mężczyzn, kobiet i dzieci usiłowały znaleźć drogę ucieczki i tłoczyły się w wielkim zamieszaniu. Tu i tam rozlegały się przerażone głosy:

- Trzęsienie ziemi...!
- Wybuch wulkanu...!
- Skąd to nadciąga?
- Od Great Ery...

Aż do Morganton pobiegła nowina, że na okolicę spadały kamienie, lawa i popioły.

Nie zwrócono nawet uwagi na to, że podczas erupcji huk przecieź narasta. Nad górami pojawiałyby się płomienie. W ciemnościach z pewnością zauważalne byłyby rozpalone strumienie lawy. Tymczasem nikt na to nie patrzył, a przerażeni mieszkańcy zapewniali, że ich domostwa odczuły wstrząsy podłoża. Skądinąd możliwe było, że wstrząsy spowodowane zostały upadkiem skalnego bloku, który oddzielił się od górskiego stoku.

Ogarnięci śmiertelnym strachem ludzie oczekiwali, gotowi uciekać w stronę Pleasant Garden lub Morganton.

Minęła godzina i nic się nie wydarzyło. Jedynie na bagnach w prymitywnym listowiu drzew iglastych szumiał zachodni wiatr, częściowo powstrzymywany obszerną kurtyną Appalachów.

W rezultacie ponowna panika nie wybuchła i każdy zamierzał wrócić do domu. Uznano, że nie ma się już czego obawiać. Tym niemniej wszyscy z niecierpliwością oczekiwali nadejścia dnia.

Panowało przekonanie, że doszło do osunięcia się gruntu, że olbrzymi skalny blok stoczył się z Great Ery. O świcie można byłoby się z łatwością o tym przekonać, przemierzając podstawę górskiego łańcucha na dystansie kilku mil.

Tymczasem około trzeciej nad ranem miał miejsce kolejny alarm – ponad skalistymi zboczami pojawiły się płomienie. Ich światło odbijane przez chmury rozjaśniało przestrzeń na bardzo rozległym obszarze. Jednocześnie dało się słyszeć trzeszczenie.

Czyżby wybuchł tam samorzutnie pożar, ale co mogło go wzniecić...? Powodem nie mógł być ogień z nieba... Żaden grom nie wstrząsnął powietrzem... Skądinąd nie brakowało mu łatwopalnej strawy. Na tej wysokości łańcuch Alleghenów jest jeszcze zalesiony zarówno w Cumberlandzie, jak i w Paśmie Błękitnym. Rosną tam liczne drzewa: cyprysy, latanie¹ i inne gatunki zimozielone².

– Wybuch...! Erupcja...!

Zewsząd dobiegały podobne okrzyki. Erupcja...! Great Ery był zatem kraterem wulkanu wydrążonego we wnętrzu górskiego łańcucha! Wygasły od wielu lat, a raczej od wielu wieków, czyżby właśnie się ożywił...? Czy płomieniom towarzyszyć miał deszcz rozżarzonych kamieni i ulewa materiału piroklastycznego³...? Czy wkrótce lawa ruszy lawiną lub strumieniami ognia,

¹ *Latania (Latania)* – rodzaj drzew z rodziny arekowatych, zwyczajowo nazywanych palmami; ich duże i długie liście rosną w górę.

² *Zimozielone* – rośliny, u których nowe liście rosną przez cały rok, a stare są zrzucane stopniowo, przez co roślina nigdy nie traci wszystkich liści.

³ *Materiał piroklastyczny* – produkty wybuchu wulkanu wyrzucane na powierzchnię w postaci ciała stałego, np. bomby i popioły wulkaniczne, pumeks.

które spalał wszystko na swej drodze, unicestwiając miasteczka, wsie i farmy, jednym słowem – całą tę rozległą krainę z jej równinami, polami i lasami aż poza Pleasant Garden lub Morganton...?

Tym razem wybuchła panika, której nic nie było w stanie powstrzymać. Oszałałe z przerażenia kobiety, ciągnąc za rękę dzieci, rzuciły się na drogi wiodące na wschód, by oddalić się jak najszybciej od tego teatru tellurycznych¹ zaburzeń. Mnóstwo ludzi opuszczało swe domy, zabierając z sobą to, co posiadali najcenniejszego, puszczając wolno domowe zwierzęta: konie, bydło, owce, które w przestachu rozbiegały się na wszystkie strony. Jakież zamieszanie spowodować musiała ta gromada ludzi i zwierząt wśród ciemnej nocy, w lasach narażonych na ogień wulkanu, wzdłuż bagien, których wody mogły się rozlać...! A czyż nawet ziemia nie groziła zniknięciem pod stopami uciekinierów...? Czy zdążą się uratować, jeśli fala rozpalonej lawy sunącej po powierzchni gruntu odetnie im drogi, czyniąc jakąkolwiek ucieczkę niemożliwą...?

Jednakże niektórzy właściciele największych farm, nieco rozsądniejsi, nie dołączyli do tego przerażonego tłumu, którego pomimo wysiłków nie udało im się powstrzymać.

Zbliżyli się aż na milę od górskiego łańcucha i zaobserwowali, że płomienie stopniowo przygasały i być może nawet całkiem miały zgasnąć. Doprawdy nie wydawało się, by okolicy zagrażał wybuch wulkanu. Powietrzem nie przeleciał ani jeden kamień, żaden strumień lawy nie spływał ze zbocza, a z wnętrza ziemi nie dochodził nawet pomruk... Nie było najmniejszych objawów typowych dla zaburzeń sejsmicznych, które w jednej chwili mogą zniszczyć cały kraj.

Dokonali następującej słusznej obserwacji: intensywność ognia we wnętrzu Great Ery malała. Odbijające się w chmurach świa

¹ *Telluryczny* – mający związek z Ziemią.



Tym razem wybuchła panika, której nic nie było w stanie powstrzymać.

tło stopniowo zanikało. Wkrótce okolica pogrążyć się miała aż do świtu w głębokiej ciemności.

Tymczasem tłum uciekinierów zatrzymał się w takiej odległości, gdzie nie zagrażało mu już żadne niebezpieczeństwo. Następnie ludzie zaczęli wracać, i kilka wiosek oraz kilka farm jeszcze przed świtem przyjęło swych mieszkańców.

Około czwartej nad ranem krawędzie Great Eyry były ledwo zabarwione słabymi odblaskami. Pożar wygasł, zapewne z braku palnych materiałów, i choć na razie nie dało się ustalić jego przyczyny, to można było mieć nadzieję, że na nowo nie wybuchnie.

W każdym razie wydawało się prawdopodobne, że Great Eyry wcale nie był miejscem wulkanicznych zjawisk. Nie wyglądało zatem na to, by okolicznym mieszkańcom groził wybuch wulkanu bądź trzęsienie ziemi.

Jednakże około godziny piątej ponad góorskimi wierzchołkami, jeszcze pogrążonymi w nocnym mroku, w powietrzu zabrzmiał dziwny hałas, rodzaj rytmicznego sapania, któremu towarzyszył potężny łopot skrzydeł. Gdyby już trwał dzień, to być może ludzie z okolicznych farm i wiosek zobaczyliby gigantycznego drapieżnego ptaka, jakiegoś powietrznego potwora, który wzbiwszy się z Great Eyry, leciał na wschód!



Rozdział II

W Morganton

Dwudziestego siódmego kwietnia, wyjechawszy poprzedniego dnia z Waszyngtonu, przybyłem do Raleigh, stolicy Karoliny Północnej.

Dwa dni wcześniej naczelny komendant policji wezwał mnie do swego gabinetu. Szef oczekiwał mnie z pewną niecierpliwością. Odbyłem z nim rozmowę, której efektem był mój wyjazd, a oto jej przebieg:

– Johnie Strock – zaczął – czy nadal jest pan bystrym i oddanym agentem, który wielokrotnie przy różnych okazjach dał nam dowody poświęcenia i przenikliwości...?

– Panie Ward – odpowiedziałem, kłaniając się – nie do mnie należy stwierdzenie, że nic nie straciłem z mej bystrości... ale jeśli chodzi o moje oddanie, mogę oświadczyć, że pozostaje ono niezmiennie.

– Nie wątpię – kontynuował pan Ward – i zadam panu bardziej precyzyjne pytanie: Czy ciągle jest pan człowiekiem dociekliwym i spragnionym przenikania tajemnic, takim, jakiego od dawna znałem...?

– Ciągle, panie Ward.

– I ten instynkt dociekliwości wcale w panu nie osłabł na skutek ciągłego korzystania z niego...?

– W najmniejszym stopniu!

– Zatem, Strock, proszę mnie posłuchać.

Pan Ward, mający wówczas pięćdziesiąt lat, dysponował doskonałą bystrością umysłu i bardzo liczone się z jego zdaniem w kwestiach związanych z pełnionymi przezeń funkcjami.

Wielokrotnie powierzał mi trudne misje, z których nieźle się wywiązywałem, nawet w aspekcie korzyści politycznych, co przynosiło mi jego uznanie. Jednakże od kilku miesięcy nie nadarzyła się żadna okazja do podjęcia przeze mnie działalności, i ta bezczynność zaczęła mi wyraźnie ciążyć.

Z pewną niecierpliwością oczekiwałem więc, co też pan Ward będzie miał mi do zakomunikowania. Nie wątpiłem, że z jakichś ważnych powodów zostaną wysłany w teren.

Oto jaką sprawę przedstawił mi komendant policji – sprawę, która obecnie absorbowała opinię publiczną nie tylko w Karolinie Północnej, nie tylko w sąsiadujących stanach, lecz także w całej Ameryce.

– Zapewne słyszał pan o tym – zaczął – co się dzieje w pewnej części Appalachów, w okolicach miasteczka Morganton...?

– W istocie, panie Ward, i uważam, że te co najmniej szczególne zjawiska mają cechy zdolne wzbudzić zainteresowanie nawet kogoś mniej dociekliwego niż ja...

– Z całą pewnością, Strock, są one szczególne, a nawet dziwne, lecz chodzi o to, czy owe zjawiska obserwowane na Great Eyry nie stanowią zagrożenia dla mieszkańców tamtego regionu, czy nie są zwiastunami jakiegoś wybuchu wulkanu bądź też trzęsienia ziemi...

– Można się tego obawiać, panie Ward...

– Trzeba zatem, Strock, dowiedzieć się, jak sytuacja wygląda. Jeśli jest to zjawisko naturalne, z którym nie jesteśmy w stanie sobie poradzić, zainteresowani powinni przynajmniej zostać na czas poinformowani o grożącym im niebezpieczeństwie.

– Jest to obowiązkiem władz, panie Ward – odpowiedziałem. – Trzeba się przekonać, co się dzieje tam, na szczycie...

– Otóż to, Strock, lecz podobno wiąże się to z poważnymi trudnościami. W okolicy mówi się, że niemożliwe jest pokona-

nie zboczy Great Eyry i zbadanie jego wnętrza... ale czy kiedykolwiek spróbowano tego dokonać w korzystnych warunkach...? Sądzę, że nie, i moim zdaniem porządnie zorganizowana próba powinna przynieść porządne rezultaty.

– Nic nie jest niemożliwe, panie Ward, i zapewne trudności sprowadzają się tylko do wielkości wydatków...

– Wydatków uzasadnionych, Strock, bo chodzi tutaj o uspokojenie lub też o ostrzeżenie całej społeczności, by uniknąć katastrofy... Zresztą, czy aby na pewno stromizny Great Eyry są tak niedostępne, jak się uważa...? Kto wie, czy jakaś banda złoczyńców nie zrobiła sobie tam meliny dostępnej jej tylko znanymi drogami...?

– Co takiego...!? Panie Ward, czyżby pan podejrzewał, że złoczyńcy...

– Możliwe, Strock, że się mylę, i wszystko, co się tam dzieje, ma naturalne przyczyny... No cóż, to właśnie musimy ustalić, i to jak najszybciej.

– Czy mogę zadać pewne pytanie, panie Ward...?

– Słucham, Strock.

– Gdy już zbadamy Great Eyry, gdy poznamy źródło tych zjawisk, jeśli jest tam krater i wkrótce nastąpi erupcja, czy możemy temu przeszkodzić...?

– Nie, Strock, ale mieszkańcy regionu zostaną uprzedzeni... W wioskach będzie wiadomo, jak wygląda sytuacja, i kobiety nie będą zaskoczone. Kto wie, czy jakiś wulkan w Alleghenach nie zagraża Karolinie Północnej podobną katastrofą, jaką na Martynikę sprowadził ogień Montagne Pelée...? Tamtejszej ludności trzeba przynajmniej umożliwić schronienie się...

– Pragnę wierzyć, panie Ward, że tamtejszemu regionowi nie zagraża podobne niebezpieczeństwo...

– Też sobie tego życzę, Strock, i rzekomo jest to nieprawdopodobne, by w tej części Pasma Błękitnego istniał wulkan. Łań-

cuch Appalachów nie ma natury wulkanicznej... A jednak według przesłanych nam raportów na szczycie Great Eyry widziano płomienie... Odczuwano też jeśli nie wstrząsy, to co najmniej drżenie gruntu aż w okolicach Pleasant Garden... Czy rzeczywiście tak było, czy jest to tylko efekt wyobraźni...? Trzeba się o tym samemu przekonać...

– Nigdy za wiele przezorności, panie Ward, i nie należy z tym zwlekać...

– Toteż, Strock, zapadła decyzja o przeprowadzeniu śledztwa dotyczącego zjawisk na Great Eyry. Trzeba się będzie jak najszybciej tam udać, by zebrać wszystkie informacje, przesłuchać mieszkańców miasteczek, kobiety... Dokonałiśmy wyboru agenta, którego darzymy pełnym zaufaniem, a tym agentem jest pan, Strock...

– Ach! bardzo chętnie, panie Ward! – zawołałem. – Zapewniam, że niczego nie zaniedbam i będzie pan w pełni zadowolony...

– Wiem, Strock, i jestem przekonany, że ta misja bardzo panu odpowiada...

– W szczególności, panie Ward.

– Będzie pan tam miał okazję, by rozwinąć i mam nadzieję zadowolić swoje szczególne zamięłowania, które stanowią fundament pańskiego temperamentu...

– Jest tak, jak pan powiedział.

– Zresztą będzie pan miał swobodę działania zależnie od okoliczności. Co się tyczy wydatków na ewentualną wspinaczkę, które mogą być znaczne, ma pan wolną rękę...

– Będę się starał jak najlepiej, panie Ward, może pan na mnie polegać...

– Jeszcze jedno, Strock, zalecam działać jak najdyskretniej podczas zbierania informacji w regionie... Umysły są tam ciągle nadmiernie pobudzone... Do wszystkiego, co pan posłyszysz, trzeba

będzie podchodzić z dystansem, a przede wszystkim unikać spowodowania kolejnej paniki...

– Oczywiście...

– Otrzyma pan uprzywilejowany dostęp do burmistrza Morganton, który będzie z panem współpracował... Raz jeszcze powtarzam, niech pan będzie ostrożny, Strock, i dopuszcza do śledztwa wyłącznie ludzi, którzy będą do tego nieodzowni. Często dawał nam pan dowody swej inteligencji i przebiegłości, więc i tym razem liczymy na to, że osiągnie pan sukces...

– Jeśli go nie osiągnę, panie Ward, to w przypadku, gdy zderzę się z absolutną niemożliwością, bo w końcu być może na Great Eyry wejść się nie da, i wówczas...

– Wówczas zastanowimy się, co trzeba będzie zrobić. Raz jeszcze powtarzam, my wiemy, że i z zawodu, i z natury jest pan wyjątkowo dociekliwym człowiekiem, a tu ma pan doskonałą okazję, by tę dociekliwość zaspokoić.

Pan Ward mówił prawdę.

Zapytałem:

– Kiedy mam wyruszyć...?

– Jutro.

– Jutro opuszczę Waszyngton, a pojutrze będę w Morganton.

– Proszę mnie informować listownie lub telegraficznie...

– Będę się starał, panie Ward... Żegnając się, raz jeszcze dziękuję panu za przydzielenie mi śledztwa w sprawie Great Eyry.

Jakże mogłem podejrzewać, co gotuje mi przyszłość?

Natychmiast wróciłem do domu, gdzie zająłem się przygotowaniem do wyjazdu i nazajutrz o świcie pędziłem pociągiem pospiesznym do stolicy Karoliny Północnej.

Wieczorem znalazłem się w Raleigh, tam spędziłem noc, a następnego dnia *railroad*¹ obsługująca zachodnią część stanu zawiozła mnie do Morganton.

¹ *Railroad* (ang.) – kolej.



– Jeszcze jedno, Strock, zalecam działać jak najdyskretniej podczas zbierania informacji w regionie...

Morganton było całkiem małym miasteczkiem, zbudowanym na jurajskim¹ podłożu bogatym w złoża węgla. Wydobywające go kopalnie były jednym z filarów tutejszej aktywności. Obficie wytryskujące wody mineralne letnią porą przyciągały tu tłumy konsumentów. Okolice Morganton były źródłem znacznych dochodów z rolnictwa. Wśród wielu bagien pokrytych torfowcami² i trzcinami rolnicy z powodzeniem uprawiali pola zbóż. W licznych lasach rosły zimozielone drzewa. Tym, czego w regionie brakowało, był gaz ziemny, owo niewyczerpane źródło mocy, światła i ciepła, jakże obfite w większości dolin Alleghenów.

Urodzajność ziemi i jej płody sprawiały, że sporo ludności zamieszkiwało na wsi. Wioski i farmy rozkwitwały aż do stóp łańcucha Appalachów, bądź skupione pomiędzy lasami, bądź rozrzucone samotnie. Kilka tysięcy zaludniających je mieszkańców byłoby bardzo narażonych na niebezpieczeństwo, gdyby Great Eyry stanowił krater wulkanu, gdyby erupcja pokryła okolicę żużlami i popiołami, jeśliby na pola spłynęły strumienie lawy, jeśli sejsmiczne wstrząsy docierałyby aż do progów Pleasant Garden i Morganton.

Burmistrz Morganton, pan Elias Smith, człowiek słusznego wzrostu, energiczny, dzielny i przedsiębiorczy, miał co najwyżej czterdziestkę i zdrowie urągające wszystkim lekarzom obydwu Ameryk, zahartowane zimowymi chłodami i letnimi upałami, czasami bardzo dokuczliwymi w Karolinie Północnej. Był zawałanym myśliwym, polującym nie tylko na zwierzynę futerkową i pierzastą, mnożącą się na równinach sąsiadujących z Appalachami, lecz także stawiającym czoła niedźwiedziom i panterom, które nierzadko można było napotkać wśród gęstych cyprysów i w dzikich wąwozach podwójnego łańcucha Alleghenów.

¹ *Jura* – drugi okres ery mezozoicznej.

² *Torfowiec* (*Sphagnum*) – rodzaj mchów, należący do klasy torfowców (*Sphagnopsida*); należy do niego ok. 350 gatunków o charakterystycznie zbudowanych liściach magazynujących duże ilości wody.

Elias Smith był bogatym właścicielem ziemskim, posiadającym liczne farmy w okolicach Morganton. Kilka z nich założył osobiście. Często składał swoim farmerom wizyty, a cały czas, którego nie spędzał w swoim *home*¹ w miasteczku, przeznaczał właściwie na wycieczki i na polowania, nieodparcie ciągnięty przez swój instynkt myśliwego.

Po południu zaprowadzono mnie do domu pana Eliasa Smitha. Był uprzedzony telegraficznie i czekał na mnie u siebie. Przedstawiłem mu list uwierzytelniający od pana Warda i wkrótce zawarliśmy znajomość.

Burmistrz Morganton przyjął mnie bardzo otwarcie i bez ceregieli, z fajką w zębach i szklaneczką brandy² na stole. Służąca natychmiast przyniosła drugą szklankę i musiałem się napić z gospodarzem, zanim zaczęliśmy rozmawiać.

– Skoro przysłał pana Ward – odezwał się pogodnym tonem – to wypijmy najpierw zdrowie pana Warda!

Należało stuknąć się szklaneczkami i wychylić je na cześć naczelnego komendanta policji...

– A teraz słucham, o co chodzi...? – zapytał mnie Elias Smith.

Przedstawiłem burmistrzowi Morganton powód i cel mojej misji w tym regionie Karoliny Północnej. Przypomniałem mu fakty lub raczej zjawiska, jakich okolica była teatrem. Zaznaczyłem – w czym zgodził się ze mną – jak ważną rzeczą było uspokojenie okolicznych mieszkańców lub przynajmniej odpowiednie ich ostrzeżenie. Oświadczyłem mu, że władze zajęły się z powagą zaistniałą sytuacją i chciałyby jej jakoś zaradzić, o ile było to w ich mocy. Wreszcie dodałem, że szef pozostawił mi wolną rękę w prowadzeniu szybkiego i skutecznego śledztwa dotyczącego Great Eyry. Miałem się nie cofnąć przed żadną

¹ *Home* (ang.) – dom.

² *Brandy* – winiak, wypalanka, wódka uzyskiwana z wina.

trudnością, ani żadnymi kosztami – z zaznaczeniem, że ministerstwo brało na siebie wszelkie wydatki związane z misją.

Elias Smith wysłuchał mnie, nie przerywając ani słowem, ale parokrotnie napełniając nasze szklanki. Nie miałem wątpliwości, że wśród kłębow fajkowego dymu słucha mnie z uwagą. Widziałem, że chwilami jego twarz się ożywiała, a oczy rozbłyśkiwały pod gęstymi brwiami. Rzecz jasna pierwszy urzędnik Morganton był zaniepokojony tym, co się działo na Great Ery, i również zależało mu na odkryciu przyczyny występujących tam zjawisk.

Gdy zakończyłem swoją prezentację, Elias Smith milczał przez chwilę, patrząc mi prosto w oczy.

– Zatem – odezwał się – tam w Waszyngtonie chcieliby się dowiedzieć, co zawierają wnętrzności Great Ery?

– Tak, panie Smith...

– I pan także...?

– W istocie...!

– Bo ja również, panie Strock!

Skoro burmistrz Morganton choć po części był ciekawskim mego pokroju, to zanosilo się na dobrany tandem!

– Rozumie pan – dodał, wytrąsając z fajki popiół – jako właściciela ziemskiego historie z Great Ery bardzo mnie interesują, a jako burmistrz mam obowiązek zajmować się sytuacją moich obywateli...

– Podwójny powód, panie Smith – odpowiedziałem – by zachęcić pana do poszukiwania przyczyny zjawisk, które mogłyby wstrząsnąć całym regionem...! Zapewne są one zarówno niewytłumaczalne dla pana, jak i niepokojące dla okolicznych mieszkańców...

– Przede wszystkim niewytłumaczalne, panie Strock, bo obojście wcale nie wierzę, by Great Ery mógł być kraterem, po-



– Zatem – odezwał się – tam w Waszyngtonie chcieliby się dowiedzieć,
co zawierają wnętrza Great Ery?

nieważ łańcuch Alleghenów nie ma natury wulkanicznej. Nigdzie, ani na przełęczy Cumberland, ani w dolinie Błękitnego Pasma nie ma śladów popiołów, żużli ani lawy, ani żadnych innych materiałów pochodzenia wulkanicznego. Nie sądzę zatem, by dystryktowi Morganton zagrażała erupcja...

– Tak pan sądzi, panie Smith...?

– Jestem o tym przekonany.

– Jednakże te wstrząsy, które odczuwano w sąsiedztwie łańcucha górskiego...?

– No tak... te wstrząsy... te wstrząsy...! – powtarzał pan Smith, kręcąc głową. – Zaczniemy od tego, czy naprawdę były jakieś wstrząsy... Akurat podczas pojawienia się płomieni byłem na mojej farmie Wildon, w odległości mniejszej niż mila od Great Ery, i o ile w powietrzu działo się to i owo, to nie odczułem żadnych wstrząsów ani na powierzchni, ani w głębi ziemi.

– Ale przecież podług raportów przysłanych panu Wardowi...

– Raportów pisanych w atmosferze paniki! – oświadczył burmistrz Morganton. – W każdym razie ja w moim o niczym takim nie wspominałem...

– Trzeba o tym pamiętać... Natomiast jeśli chodzi o płomienie buchające spoza skał...

– Och! Płomienie, panie Strock, to co innego...! Widziałem je... widziałem na własne oczy, a chmury odbijały ich poświatę na spore odległości. Poza tym ze szczytu Great Ery dobiegał wyraźny hałas... świst podobny do tego, jaki słychać, gdy z koła dobywa się para...

– I pan byłeś tego świadkiem...?

– Tak... hałas był ogłuszający!

– A dalej, czy w całym tym zamieszaniu nie wychwycił pan dźwięku potężnego łopotu skrzydeł...?

– Istotnie, panie Strock! Jednakże by wywołać taki łopot, jakże gigantyczny musiałby być ptak, który wzbił się w powietrze

po wygaśnięciu ostatnich płomieni... I jakie musiałyby mieć skrzydła... W efekcie zastanawiam się, czy ten hałas nie był wytworem mojej wyobraźni...! Great Eyry, siedlisko powietrznych potworów...! Czyż nie zauważylibyśmy ich już dawno, jak krążą ponad olbrzymim skalnym gniazdem...? Faktycznie kryje się za tym jakaś tajemnica, która do dziś nie została wyjaśniona...

– Ale którą my wyjaśnimy, panie Smith, jeśli będzie pan łaskaw mi w tym pomóc...

– Oczywiście, panie Strock, z tym większą chęcią, że uspokojenie tutejszej ludności jest bardzo ważną sprawą...

– Zatem od jutra ruszamy w teren...

– Od jutra!

Po tych słowach rozstaliśmy się z panem Smithem.

Wróciłem do hotelu, gdzie poczyniłem niezbędne przygotowania związane z pobytem, który mógł się przeciągnąć w zależności od rozwoju śledztwa.

Pamiętałem o raportach dla pana Warda. Poinformowałem go o moim przybyciu do Morganton, zapoznałem z przebiegiem pierwszej rozmowy z merem miasteczka i naszym postanowieniem uczynienia wszystkiego, by jak najszybciej doprowadzić sprawę do owocnego rozwiązania. Przy okazji zobowiązałem się informować go o wszystkich podejmowanych przez nas krokach, by na bieżąco miał wgląd w rozwój sytuacji w tej części Karoliny.

Jeszcze tego popołudnia ponownie spotkałem się z panem Smithem i zdecydowaliśmy wyruszyć o brzasku następnego dnia.

A oto co ustaliliśmy:

Wspinaczkę na górę miało poprowadzić dwóch doświadczonych w podobnych ekspedycjach przewodników. Wielokrotnie wspinali się oni na najwyższe szczyty Pasma Błękitnego.

Nigdy jednak nie podejmowali prób dostania się na Great Eyry, widząc, że dostępu bronią skalne stromizny, a poza tym przed wystąpieniem ostatnich zjawisk Great Eyry nie budził najmniejszego zainteresowania alpinistów. Tym niemniej mogliśmy w pełni liczyć na tych dwóch przewodników, których pan Smith znał osobiście, ludzi odważnych, zręcznych i oddanych. Nie myśleli się cofnąć przed przeszkodami, a my byliśmy zdecydowani podążać za nimi.

Ponadto, jak poinformował mnie pan Smith, być może dostanie się do wnętrza Great Eyry przestało być niemożliwe.

– A to niby dlaczego...? – spytałem.

– Ponieważ parę tygodni temu od zbocza góry oddzielił się skalny blok i może to ułatwi dostęp...

– Byłoby to szczęśliwą okolicznością, panie Smith...

– Sami się o tym przekonamy, panie Strock, i to nie później niż jutro...

– Do jutra zatem!



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!